



WIECZORY RODZINNE

TYGODNIK ILLUSTROWANY DLA DZIECI



Z I M A.

Otulone w puch biały
Drżą wśród boru sosenki
Śnieg i lód je przybrały
W kryształowe sukienki.

Wczoraj jeszcze zielona
Była łąka i niwa —
Dzisiaj śnieżna zasłona
Wszystko bielą przykrywa.

Szron się iskrzy w dąbrowach,
Lodem ścięły się rzeki,
Ale w mrozu okowach
Nie śpi ziemia na wieki.

Na głos Boży pierwiosnki
Znów przebiją darń w lesie
Znów promienie i piosnki
Młoda wiosna przyniesie.

Zofia Mrozowicka.

WĘDRÓWKI ZWIERZĄT.

Któż nie słyszał o odlocie bocianów lub jaskółek, gdy już jesienne chłody zwarzą zielone liście drzew, krzewów i ziół, gdy ich zeschnięte żółte szczątki szeleszczą smutno za ładą podmuchem wiatru?

Opuszczają nas wtedy stada ptaków, zostają tylko wierne wróble, śnieciszki, wrony i kilka innych gatunków.

Kto jednak stara się zbadać tryb życia różnych zwierząt, ten wie, że wiele czworonogich, wiele owadów, robaków odbywa wędrówki bądź po ziemi, bądź to w morzu. Wędrówki szarańczy należą do faktów bardzo znanych, o których wspominaliśmy już w Wieczorach.

Łososie co wiosną wędrują z morza do rzek, a gdy wracają pełno rybackich sieci czyha na ich zgubę; węgorze znów wędrują z wód słodkich do morza i odwrotnie.

Na morzach zwrotnikowych peryodycznie dwa razy do roku ukazują się niezliczone tłumy robaków, zwanych palolo, które znikają potem w głębinach.

A motyle?

One także odbywają swoje wędrówki. Przed kilkunastu laty białe motyle, kapustniki, ciągnęły chmarą ponad kilkoma wsiami Holandyi od południa do siódmej godziny wieczorem. Warszawę znów nawiedziły w r. 1880 ważki w niezmierniej ilości.

Żółwie morskie wędrują gromadami, z morza na ląd gdzie składają jajka. Zwinne wiewiórki przechodzą także z jednej okolicy do drugiej, a nawet odważnie przebywają wpław rzeki, które na drodze spotkają. W Szwecyi i Norwegii żyje Leming z rodziny myszy, który słynie nawet ze swych długich wędrówek.

Wiele bardzo tych zwierząt wędruje dla znalezienia sobie pożywienia, bo też przeważnie podróżują zwierzęta trawożerne. Foki znów zwracają się ku stałym lądom dla podchowania młodych, które nie mogłyby pływać w pierwszych dniach życia. Lecz nieraz trudno zrozumieć dla czego jakieś zwierzę wędruje z miejsca na miejsce, bo też bardzo mało znamy obyczaje zwierzęce, które nieraz wymagają wiele czasu, cierpliwości jeśli je dobrze zbadać chcemy.

Człowiek hoduje niektóre zwierzęta, które przynoszą mu pożytek, karmi je, chroni od zimna, takie zwierzęta zowiemy domowymi. Znany je wszyscy, między niemi koń i pies posiadają najwięcej przyjaciół wśród ludzi. Wiele zwierząt, nie pytanych i nie proszonych trzyma się ludzkich siedzib i wszędzie za człowiekiem wędruje; nieraz radziłybyśmy pozbyć się ich, ale pomimo ciągłego tępienia natrętnych stworzeń, nie ustępują one wcale. Do rzędu tych nieproszonych gości zaliczyć trzeba myszy i szczury, które do Europy przywędrowały z Azji tak jak i wiele innych stworzeń.

Myszy od dawien dawna u nas gospodarują, po nich dopiero przybyły szczury, które znano już dobrze w wiekach średnich. Śmiałe, żarłoczne i sprytnie te stworzenia, Europejczycy przewieźli na okrętach do Ameryki, gdzie ich wcale przedtem nie znano, a łatwo domysleć się, że Amerykanie nie ucieszyli się z nowego nabytku.

Lecz istnieje kilka gatunków szczurów. Otóż starożytny szczur domowy spotkał się z zażartym przeciwnikiem w połowie przeszłego wieku. Tym przeciwnikiem był szczur płowy o wiele większy od domowego, którego nowy przybysz zagryzał bez żadnej ceremonii. Ow szczur przywędrował do nas również z Azji.

Tępicieł znów myszy, nasz kot domowy, zapewne od niepamiętnych czasów z Egiptu przedostał się do Europy.

Wielkiemi amatorami zboża są: susły i chomiki. W dziełach starożytnych uczonych już znajdujemy wzmiankę o susłach, które noszą nazwę myszy pontyjskich, że zaś wyrazy Pontus Euxinus oznaczały Morze Czarne, zatem przypuszczalną ojczyzną susła byłyby stepy, które rozciągają się na

północ od Morza Czarnego. O chomiku znajdujemy wzmiankę dopiero w późniejszych czasach i jeśli u nas od dawna przebywa, to we Francyi ukazał się zaledwie przed kilkunastu laty. Francuzi nie mają dotąd własnej nazwy dla chomika i zachowali mu nazwę niemiecką: *hamster*.

Susły i chomiki lubią żywić się ziarnem, przytem kopiąc nory przerywają i przegryzają korzenie zboża, przez co szkodę nam przynoszą. Lecz o ileż szkodliwsze są szczury i myśzy, tembardziej, że jedzą bez wyboru co napotkają, jarzyny, mięso, mąkę, skórę, słoninę, cukier, wszystko im smakuje. Szczury potrafią nawet wgryzać się w ciało żywych stworzeń, dusić młody drób jako to: kaczki lub kurczęta.

Ze Wschodu również przywędrował do nas owad bardzo dokuczliwy, karaluch — plaga warszawskich kucharek; cieszymy się jednak, że nie posiadamy dotąd karaluchów amerykańskich, daleko większych i tak żarłocznych, że według świadectwa jednego z wiarogodnych podróżników, utrapione owady zjadły mu podeszwy od butów, podczas trwania proszonego obiadu u jednego z dygnitarzy. Okręta amerykańskie już przeniosły do europejskich portów swoje karaluchy, wywdzięczając się tem widocznie za szczury; za jakie kilkadziesiąt lat kto wie, czy i my nie zobaczymy wstrętnych olbrzymów w naszych mieszkaniach.

Obok karalucha uwija się też nieraz drobniejszy, płaski owad, zwany to prusakiem, to francuzem; w zoologii należy do jednej z karaluchami grupy a w życiu ucieka przed nim, gdyż silniejszy krewny tępi go zajadle. Zkąd ten owad pochodzi? Różne są tu zdania, najprawdopodobniej z Niemiec, gdyż nad brzegami Renu żyje swobodnie po lasach. Niemcy jednak zowią go francuzem.

Wiele ptaków ciągnie też za człowiekiem i trzyma się stale jego siedzib. Do takich należy nasz świegotliwy, skaczący wróbel. Ponieważ żywi się on głównie ziarnem a w jego braku robakami i owadami, nie więc dziwnego, że szuka sobie miejsc obfitujących w pożywienie, szuka towarzystwa człowieka. Zboże przyszło do nas z Persyi, z Mezopotamii, i ztamtąd też przyleciały za zbożem wróble. Cały rok z nami przebywają i zwykle, pokolenia jedne po drugich pozostają w jednym i tem samym miejscu. Widzimy ztąd, że wszystkie prawie nasze domowe zwierzęta przybyły ze Wschodu, bo koń nawet pochodzi ze stepów azyatyckich, trudno już byłoby nam obyć się bez tych pożytecznych towarzyszy, które wynagradzają nam szkody, jakie z drugiej strony ponosimy w skutek obecności żarłocznych myszy, susłów, chomików i t. d.

A. M.

W pustyniach Australii.

PRZEZ

Włodysława Umińskiego.

(Dalszy ciąg).

Kim był ów Wilski? podróżnikiem i uczonym, czy zwykłym awanturnikiem? Do jakiej należał wyprawy? Jakiego dziwy i kaprysy przyrody oglądał w głębi niezbadanych pustyni, zajmujących wnętrza Australii? Na jakie wreszcie pokusy był tam narażonym?

Na te wszystkie pytania mogły dać odpowiedź jedynie luźne, nieściśle zdania, wypisane drżącą ręką umierającego na kawałku pomiętego papieru i garstka minerałów, znajdujących się w puszcze.

— Panowie — rzekł Dugan, kiedy doktor Halm, Abel, pan Hundleton i jego syn Jerzy zgromadzili się dokoła stołu

na którym złożono zbiory nieznanego — dla mnie wątpliwości nie ulega, iż Wilski, którego śmiertelne szczątki znaleźliśmy o 5 mil od Little Downs, dzięki przypadkowi, był członkiem wyprawy naukowej. Skąd i kiedy owa przypuszczalna wyprawa wyruszyła, kto do niej należał oprócz nieboszczyka, na to odpowiedzieć nie potrafię, gdyż nic o niej nie słyszałem. To jednak nie stanowi dowodu, iż nie przedsiębrano jej wcale. Kto wie, może kilku uczonych cudzoziemców, palających chęcią zrobienia jakiego nowego odkrycia geograficznego, zapuściło się w głąb pustyni i zdołało dotrzeć do samego środka kontynentu.

— Nie byłoby w tem nic nadzwyczajnego — wtrącił Abel; — wewnątrz Australii pomimo badań Gilesa, Burkego, Stuarta i innych podróżników jest do dziś dnia bardzo mało znane i stanowi wdzięczne pole działania nie tylko dla geografów, ale i dla naturalisty, nieprawdaż doktorze?

— Bez wątpienia — odparł Haln, zażywając tabaki ze swej olbrzymiej, srebrnej tabakierki — dotąd nie znamy jeszcze wszystkich owadów, zamieszkujących tamte okolice, coleopterów zwłaszcza...

— A więc — ciągnął dalej Dugan, przerywając uczone wywody doktora, jest prawdopodobnem, że ów podróżnik należał do wyprawy naukowej w głąb lądu.

Jaką w niej odgrywał rolę? Te minerały, zebrane jego ręką, odpowiedzą nam na to pytanie. Nieboszczyk był więc geologiem i postawił sobie zapewne za zadanie zapoznać się z bogactwami mineralnymi, jakie ukrywa w sobie zazdrośnie olbrzymia środkowa pustynia.

— Na świętego Jerzego! Udało mu się to wcale dobrze! — zawołał Hundleton, biorąc w swe grube, opalone ręce blaszki złota, rozrzucone po stole! patrzcie; tylko na ten kawałek kwarcu, nie widziałem jeszcze skały, zawierającej tak znaczny procent metalu.

— Rzeczywiście, poszukiwania tego biedaka zostały uwiecznione dobrym skutkiem; oprócz bowiem złota, udało mu się znaleźć jeszcze kopalnię drogiego kamieni.

— Co? — zawołał Hundleton, zrywając się z krzesła.

— Kopalnię korundów, mój kochany szwagrze; oto masz tutaj próbkę — rzekł Dugan, podając kilkanaście błyszczących kamyków Hundletonowi.

— Ależ na Boga! Nieboszczyk miał szczęście, którego mu zazdrościć!

Dugan uśmiechnął się smętnie.

— Zdaje się, że te skarby nie przyniosły mu żadnej korzyści — rzekł; — przeciwnie, stały się one powodem pośrednim jego śmierci. „Jeżeli chciwość opanuje twe serce i jeżeli z jej podszeptów zdradzisz naukę, tak jak myśmy ją zdradzili, biada ci!” Ten ustęp testamentu potwierdza chyba dostatecznie moje domysły.

— Nie rozumiem go, co prawda — odezwał się Jerzy, młody chłopak, liczący zaledwie 18 lat wieku.

— Dla mnie jest on zupełnie jasnym — odparł Dugan, kładąc na stole dokument. — Złoto skusiło członków wyprawy; zamiast pracować dalej dla nauki, zapragnęli wyciągnąć ze swych badań materialne korzyści i to ich zgubiło... Jak zginęli? Bogu jednemu wiadomo. Może z głodu, a może z pragnienia, albo z rąk krajowców!

Zagadki tej niepodobna rozwiązać.

— Pokaż ten dokument, Duganie — rzekł Hundleton, któremu oczy zaiskrzyły się na wzmiankę o złotych placarach i kopalniach drogiego kamieni; jest tu, jak widzę, plan tej błogosławionej krainy i droga do niej.

— Nieboszczyk usiłował, w samej rzeczy, skreślić mapę zbadanych przez siebie okolic, ale niestety, rysunek zrobiony kawałkiem węgla źle upalonego, zatarł się tak, iż trudno coś dojść z niego; widać tylko, że wyprawa wyruszyła z południowej Australii, dosięgła jeziora Eyre, po czym zapuściła się w północno zachodnim kierunku. O ile mogę sądzić, przebyła ona jeszcze sporą przestrzeń, zanim natrafiła na ową zagadkową krainę, która leży prawdopodobnie nieopodal gór Macdonnelli i linii transkontynentalnego telegrafu.

— A zatem w najmniej znanych okolicach — rzekł Abel, który słuchał z największą uwagą wywodów swojego opiekuna.

— Którędyż więc możnaby się tam dostać? — zagadnął młody Hundleton, przysuwając się do Dugana.

— Którędy? To rzecz obojętna. Zarówno od południa, jak i od północy.

— No tak, ale jaką drogę wypadałoby obrać do owych placarów stąd, z Little Downs?

Dugan uśmiechnął się.

— Oho! widzę, że i ciebie złoto ciągnie — rzekł. — Otóż jeżeliby ci przyszła ochota dostać się do miejscowości, o której mowa, to musiałbyś udać się w południowo zachodnim kierunku, przebyć rzekę Flindersa, wpadającą do zatoki Karpentarii i przedrzeć się przez pasmo górskie Clancurry.

— A potem?

— Następnie znalazłbyś się w nieznanym okolicach, jeżelibyś jeszcze doścignął dorzecza rzeki Herberta, to zapewne byłbyś oddalonym o paręset zaledwie kilometrów od celu podróży. Tak — mówił dalej podróżnik jakby do siebie — tajemnicza kraina, o której mówi nieszczęśliwy zmarły, musi leżeć nieopodal gór Morphetta, prawie na samym zwrotniku koziorożca. Prawdę mówiąc, jestem ciekawy, jakie to nadzwyczajności oglądali członkowie wyprawy. Hm, czy ja się interesuję kaprysami i dziwami przyrody? Ma się rozumieć! Obchodzą mnie one stokroć więcej, aniżeli najbogatsze placery i miny djamentowe.

Jeżeliby rzeczywście niespodzianki potrafiły wynagrodzić mnie za poniesione trudy i niebezpieczeństwa, to...

— To co? — zawołał Abel.

— To udałbym się bez wahania na poszukiwanie tej krainy nadzwyczajności.

Na te słowa milczenie zapanowało pomiędzy obecnymi. Abel zamyślił się, Hundletonowie, stary i młody, przypatrywali się rysunkowi na dokumencie, doktor zaś obserwował gorliwie jakąś szczególną muchę, która brzęczała mu tuż około nosa.

— Jeżeli wierzyć nieboszczykowi, to wyprawa, do której należał, odkryła jakieś jezioro w górach środkowych — mówił dalej Dugan, odczytując z trudnością zamazane wyrazy dopisku; — wzmianka o niem niezmiernie mnie intryguje. Nie dość tego, w dokumencie jest jeszcze wyraźne słowa o rzecze, o piaskowej górze i o kamienistej pustyni, na której wznoszą się szczyty. Hm, kto wie, czyby nie warto zbadać tamtych okolic.

— Jakiż to czy warto? — zawołał Hundleton; — czyż owe placery i kopalnie są do pogardzenia? Naiwnym nazwałbym cię, gdybyś nie skorzystał z...

— Bah! — rzekł podróżnik, machając lekceważąco ręką; złoto i drogie kamienie nie a nie mnie nie obchodzą, powtarzam; niech je biorą ci, którzy w bogactwie widzą jedyny cel życia; ja go nie pragnę i nie pragnę. Jeżelibym się zapuścił w pustynię, to po to tylko, żeby stwierdzić odkrycia geograficzne tych biedaków, którzy je śmiercią przypłacili.

— Jesteś prawdziwym kapłanem wiedzy, mój Arturze — rzekł Hundleton; — zapominasz jednak, że można jedno z drugiem pogodzić.

— Wątpię — odparł Dugan; — dla mnie owe przypuszczalne skarby nie istnieją i nie zboczyłbym na dziesięć mil nawet, ażeby je pozyskać.

— A gdybyś znalazł je na swej drodze?

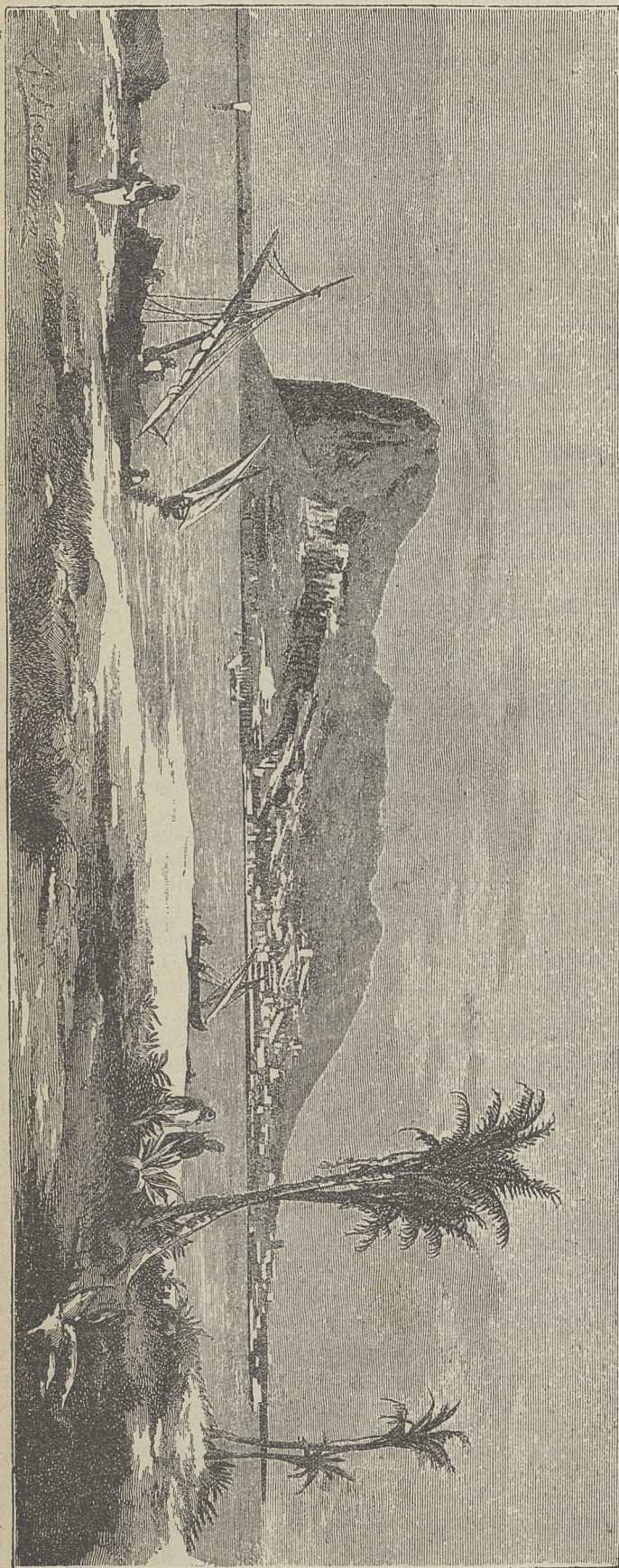
— Nie ma o czem mówić; nie jestem przecie poszukiwaczem złota i nie utknąłbym na placерze. Zresztą eksploatacja najbogatszych choćby min napotkałaby nieprzewyciężone trudności w pustyniach, pozbawionych zupełnie prawie wody. W przeciwnym razie ten zmarły i jego towarzysze nie zginęliby marnie obok bogactw, odkrytych przez siebie. Nie radziłbym więc nikomu, a tembardziej tobie, puszczać się na takie ryzykowne przedsięwzięcie.

— A jednak masz ochotę udać się w tamte okolice.

— Ba, ale nie po to, żeby siedzieć gdzie w dziurze i bawić się płukaniem złotonośnego piasku.

— Więc pojedziesz?

— Poczytuję to sobie za obowiązek; nie mogę przecież pozwolić, żeby takie ważne fakta, jak odkrycie nowego pasma gór i nieznanego jeziora, pozostało obcem dla geografii. Spo-



dziewam się, że geologia i historia naturalna niemało odniosłyby pożytku z takiej podróży; w dokumencie są wzmianki o jakichś nadzwyczajnościach, które, bądź co bądź, muszę zobaczyć na własne oczy.

— I ja jestem niezmiernie ciekawy poznać je — rzekł Abel.

— Mój chłopcze, wiesz przecie, że nie ruszylibym się bez ciebie — odparł Dugan.

— Zdziwiająco prędko decydujesz się pan na tak daleką i niebezpieczną podróż — odezwał się Halm; — żałuję mocno, iż zostanę niebawem pozbawionym pańskich cennych wskazówek... o tak, żałuję — dodał, wyciągając swą wielką czerwoną chustkę i ucierając melancholijnie takiż nos.

— Trudno, kochany doktorze; obejdiesz się jednak bez nich.

— Nie wiem doprawdy, czy potrafię — mruczał Niemiec wdychając. — Hm, powiedz mi pan otwarcie, czy pańska wycieczka będzie bardzo utrudzającą?

— Utrudzającą? — powtórzył Dugan — nie panie, będzie ona uciążliwą, a nawet niebezpieczną i nie mogę panu zaręczyć, czy nie ulegnę temu samemu losowi, co ten, którego zwłoki znaleźliśmy dziś w lesie. Wiadomo panu przecie, że wewnątrz Australii jest jedną olbrzymią pustynią, pozbawioną wody przez znaczną część roku.

— Tak? doprawdy? Z tego można wnioskować, iż nie miałbym tam co robić.

— Przeciwnie, kochany doktorze; środkowa Australia nie była jeszcze zwiedzana, o ile mi się zdaje, przez żadnego specjalistę entomologa; zebrałbyś pan tam dobre żniwo, bo w owej pustyni, porosłej scrubem, t. j. karłowatymi krzakami owadów nie brakuje. Pomimo to radziłbym panu pozostać w Little Downs.

— Co? ja miałbym pozostać? Ja miałbym pominąć tak doskonałą sposobność?! Co by na to powiedziało nasze towarzystwo entomologiczne? — wołał zaperzony doktor. — Czyż przyjechałem tutaj, żeby siedzieć jak żółw w skorupie? Nie, nie, mój panie! udam się za tobą, choćbyś nawet nie żył sobie tego!

— Ależ nie wytrzymasz pan trudów takiej podróży.

— Zobaczymy, zobaczymy; Halm nie raz już odbywał odległe wycieczki entomologiczne i trzymał się w nich dobrze — mówił doktor, poprawiając swoje okragłe okulary.

— Ha, skoro pan chcesz koniecznie pojechać, nie mogę panu w tem przeszkadzać — rzekł Dugan.

— Dziękuję panu, dziękuję bardzo w imieniu całego towarzystwa — odparł doktor, chwytając rękę podróżnika i ściskając ją mocno w swoich drobnych dłoniach? Na kiedy mam być gotów.

— Ho, ho! jesteś pan, jak widzę, w gorącej wodzie kąpany! — odparł Dugan — jeszcze nie wiem napewno, czy wyprawa przyjdzie do skutku, a pan chciałbyś już wyruszyć; powoli, powoli, pańskie owady nie uciekną. Muszę najprzód rozważyć wszystko gruntownie. Podróż do środka Australii to nie przechadzka z siatką w rękę po Europie.

— Kochany wujaszku — odezwał się z przysmileniem Jerzy Hundleton — nie odmówisz chyba mojej prośbie, nieprawdaż?

— Więc i ten! — zawołał podróżnik, rozkładając szeroko ramiona. — Bój się Boga, chłopcze! Cóż ty będziesz robił w pustyni?

— Pragnę obejrzeć, jak i ty, owe cuda i nadzwyczajności.

— A może chciałbyś napchać kieszenie złotem i drogimi kamieniami, co?

— Jeżeli nie będziesz miał nic przeciwko temu, to dlaczegożby nie? — odparł Jerzy, uśmiechając się. — Zresztą oddaję się w zupełności pod twoje rozkazy.

— Nie raczysz się nawet zapytać ojca o pozwolenie.

— Oh, ojciec zgodzi się — odparł Jerzy, spoglądając pytająco na Hundletona.

Farmer wzruszył ramionami.

— Dlaczegożby nie? — rzekł. — Kto wie, może mu się ta podróż opłaci.

— Hm, owe domniemane placery spać wam nie dadzą — rzekł Dugan pogardliwie. — Niechaj chłopiec jedzie, i owszem.

GIBRALTAR.

Myli się jednak, sądząc, że będę z nim razem szukał złotego piasku; powiedziałem mu już, że nie chcę mieć nic wspólnego z podobnemi celami.

I dzielny podróżnik, wymówiwszy ostatnie słowa z naciśnięciem, jał przechadzać się wielkimi krokami po pokoju.

— Kto ugania się za fortuną, ten nigdy nic nie zrobi dla dobra ludzkości — mówił, gestykułując żywo. — Blask złota zaćmiewa światło wiedzy, odejmuje urok cnocie, myśl tłumy, serce studzi... Czy można zliczyć wszystkie podłości i zbrodnie, któremi okupywano posiadanie tego kruszcza. O! Australia wiele powiedziała nam o tem, gdyby jej pustynie, góry i rzeki mówić potrafiły.

Po tej wycieczce Dugana przeciwko złotu, zapanowało w pokoju długie milczenie; wszyscy zastanawiali się nad projektem, który wyłonił się tak nagle przy odczytywaniu testamentu zmarłego Wilskiego.

Niewątpimy, że każdy z naszych młodych czytelników, potrafiłby nam wskazać odrazu, na pierwszej lepszej karcie Europy, cieśninę Gibraltarską, łączącą Morze Śródziemne z Oceanem. Otóż zebrawszy teraz resztę swoich geograficznych wiadomości, niechaj zwróci wzrok na naszą rycinę, przedstawiającą widok Gibraltaru, owego znanego od wieków skalistego przylądka, wznoszącego się na 1400 stóp nad powierzchnią morza, na południowym krańcu Andaluzyi hiszpańskiej. W starożytności znanym on był pod nazwą Monte-Calpe i tworzył wspólnie z Abilą pod Ceutą na brzegach Afryki, tak zwane Herkulesowe słupy.

Wyobraźnia pogańskich Greków, tworząca w mitologicznej postaci półboga Herkulesa, obraz nadludzkiej siły



G a z e l l e.

Jakże jednak odmiennemi torami biegły myśli obecnych!

Dugan, w którym nagle odezwała się żyłka geograficzna, marzył o odkryciach, o owym tajemniczym jeziorze w nieznanych górach, o dziwach, obiecywanych w dokumencie śmiałkowi, któryby się odważył zapuścić w niedostępne czeluście Australii środkowej; dzielny ten człowiek lekceważył niebezpieczeństwa, związane z takim przedsięwzięciem; nadzieja powodzenia i tryumfów upajała go.

— Muszę tam być, muszę! — powtarzał sobie w duchu, zapalając się coraz bardziej.

(d. c. n.)

i potęgi ducha, tak niezbędnej do zwyciężania wszelkich na drodze życia napotykaných przeszkód, uprzystępnia nam do pewnego stopnia pojęcia, o owych bohaterach dalekiej przeszłości, co po najzaciętszych walkach z ludźmi i przyrodą zdołali pozostawić trwałe pomniki swej sławy. Jednym z takich był zapewne Tarik-Abenzaca, dzielny wódz i kalif maurytański, który w r. 711 wznosił na skalistym, dotąd nieprzystępnym przylądku, pierwszy zamek warowny. Od jego też imienia, późniejszy Gibraltar, został nazwany po arabsku: Gebel-al-Tarik, czyli: Skała Tarika.

Z tej to następnie groźnej siedziby, on i jego liczni potomkowie spoglądali z dumą na podległe ich berła: chrześcijańskie krzyże, dopóki w następstwie wieków pycha ich srodcie upokorzona nie została; już bowiem w XI wieku, za panowania Henryka króla Kastylii, waleczny Don Guzman, wódz hiszpański, nie tylko odebrał Maurom Gibraltar, ale i wyparł ich z całej prawie Andaluzyi.

Odtąd z fortyfikacji na Skale Tarika, nie przestawali korzystać Hiszpanie, i za czasów Karola V-go, na rozkaz tego słynnego ze swej potęgi monarchy, inżynier Speckel ze Strasburga, znacznie je umocnił i rozszerzył.

Nie potrafiła jednak miotana ciągle wewnętrznymi wojnami Hiszpania, utrzymać się przy posiadaniu tak ważnej twierdzy, gdyż w r. 1704 w czasie walki o sukcesyę, opanowali ją Anglicy i dotąd pomimo pamiętnego oblężenia i blokady od 21 czerwca 1779 do 6 lutego 1783 roku, pozostaje w ich rękach, zapewniając im wielką przewagę handlową i polityczną.

Miasto Gibraltar znacznie niżej od linii fortyfikacyjnych położone, liczy około 20,000 mieszkańców i posiada obok doskonałego portu, mnóstwo pożytecznych bądź to specjalnie morskich, bądź też handlowych i rękodzielniczych zakładów.

GAZELLE.

Do najpiękniejszego rodzaju licznej rodziny antylop, należą gazelle znajdujące się w północnej Afryce, gdzie się żywią przeważnie liśćmi mimozy rozrosłej wśród tamecznych gajów. Wzrostem nie dochodzą one naszej sarny, lecz są od niej zgrabniejsze i delikatniejsze. Trwożliwe i ostrożne, unikają wszystkiego co im się wydaje niebezpiecznem, w ucieczce zaś są tak szybkie, że najlepszy chart doścignąć ich nie jest w stanie. Pewien angielski podróżnik opisując gazellę, powiada, że jest ona tem wśród pokrewnych sobie gatunków, czem koń arabski wśród innych koni, to jest doskonałym wzorem piękności swego rodzaju. Skóra jej i sierść jest miękka jak jedwab, barwa pośrednia pomiędzy jasno szarą i żółto-brunatną, nogi śnieżnej białości tak delikatne, że wydają się jak gdyby rzeźbione ze słoniowej kości, racice zgrabnie zastrzone. Głowę kozła zdobią czarne jak heban pierścieniwate rogi, długie na 20 do 30 centymetrów; oko gazelli duże, czarne, łagodnego wyrazu, słynie słusznie ze swej piękności. Jakkolwiek trudne do schwytania, młode gazelle dają się przyswoić. Przed niedawnym czasem gubernator Oranu miał u siebie gazelle przedstawione na rycinie naszej, które wychowane u niego przebywały chętnie wśród innych zwierząt domowych.

ONA

OPOWIADANIE

przez Zofię Kowerską.

(Dalszy ciąg).

Pan Mierznicki myślał:

— Kobieta łatwiej sobie poradzi z uporem Elżuni. Zostawię rzeczy jak są, aż do przyjazdu Heleny. Potem obmyślimy razem jak postępować z tem biednem dzieckiem, które nie rozumie tego, że ja tylko dla dobra dzieci żyć pragnę.

Z początkiem wiosny poczęto w domu dawać nowe obicia i odświeżać wszystko na przyjazd nowej pani. To stało się powodem nowych wybuchów zazdrości ze strony Elżuni. Nie było już Walburgowej do podniecania nienawiści dzieci

względem macochy, to się znalazł Judasz w spódnicy w osobie Felki, panny służącej.

— Dla panienki to dobre stare obicia i meble, choć przecie panienka rodzona córka pana, a dla tej... nowotnej, co tu przyjedzie, to wszystko co najlepsze, co najpiękniejsze! Oj! dopiero tu ona będzie królowała!

Elżunia patrzyła z zawiścią, jak w pokoju przyszłej pani Mierznickiej ustawiano piękną toaletę i łóżko z bardzo wygodnymi sprężynami i materacami.

— A ja to pod materacami mam siennik zwyczajny, nie sprężyny, a gotowalni nie mam wcale — myślała mała zazdrośnica.

W ogrodzie zakreślono nowe klomby, sadzono róże, równano trawniki, co też Elżunię żółcią poilo.

— Dla nas to mogło tu być brzydko — mówiła do Frania — a dla niej!...

— Bo ona starsza od nas — odpowiedział Franio.

— To co, że starsza? Starszej właśnie, łatwiej się obejść bez wszystkiego!

Ojciec często bardzo był za domem, miał rozmaite interesa do załatwienia, dzieci rzadko go widywały. Pewnego dnia w końcu maja wszedł do pokoju, mówiąc:

— Jutro pojedziemy wszyscy do Warszawy! Chcę żebyście byli na moim ślubie. Muszą dla was być jeszcze poszyte sukienki na tę uroczystość. No, cóż dzieci na to?

— Pojedziemy, kiedy papa każe — ozwał się Franio.

— Do Warszawy! — zawołała Marytka, która nigdy jeszcze w mieście nie była. — Pójdę do sklepu z zabawkami!

— Pójdziemy wszyscy do sklepu z zabawkami i wybieramy tam przeróżnych pięknych rzeczy — rzekł ojciec.

Broniś uśmiechał się. Myślał o koniach, batach, trędzlach i szpicrutach.

Elżunia stała na boku, gryząc blade wargi i przemyślując o buncie, a także zadowolona, iż ma sposobność okazać swoją niechęć dla macochy.

— Czy Elżunia ma co do powiedzenia? — zapytał ojciec łagodnie, chcąc dać jej sposobność do przeproszenia go.

— Chciałabym nie jechać — odrzekła Elżunia ponuro.

— To nie pojedziesz — powiedział ojciec. — Będziemy wszystkim mówić, żeś chora i dla tego przyjechać nie mogłaś. I to nie będzie kłamstwo żadne, moja Elżuniu. Tyś rzeczywiście chora umysłowo, a masz też i choroby serca, która się nazywa oschłością, egoizmem i brakiem przywiązania dla ojca. Głupota i złość, to są choroby cięższe, niż wszelkie febrы i gorączki. Zostaniesz tu, a co się z tobą dalej stanie, to już zależeć będzie od twej przyszłej, przybranej matki. Ona niech sądzi, czy masz zostać w domu, czy też masz być z niego wysłana na pensję...

Elżunia zanosła się od płaczu. Ciągłe drażniła ojca swoją zaciętością, a gniew jego do rozpacz ją doprowadzał. Gdy wyszedł nie spojrzawszy nawet na nią, czuła się tak nieszczęśliwą, że pobiegłszy do ogrodu ukryła się w najgęstszym klomb i tam rzuciwszy się na ziemię zasłoniła twarz dłońmi i płakała gorzko i długo.

Troje młodszych dzieci pojechało z ojcem i francuzką do Warszawy, zostawiając Elżunię w domu pod opieką Felki.

Zaprowadzono dzieci do magazynu ubiorów dzieciennych i tam obstalowano różne suknie, paltociki, kapelusze, żeby dzieci przyzwocić się przedstawiły pannie Helenie. Wreszcie zaprowadzono je do niej. Wydała im się bardzo ładna i bardzo dobra. Chociaż było dużo gości, zajęła się dziećmi wyłącznie prawie i zaraz zaczęła się wypyttywać Frania i Bronisia czego się uczyli. Znalazła, że Franio był spóźniony w naukach i że już powinien mieć nauczyciela. Ze Franio oddawna już tego pragnął, więc się bardzo ucieszył i dumny był z tego, że panna Helena nazywa go już dużym chłopcem, nie dzieckiem.

— Gdy przyjadę do Litowa — mówiła z łagodnym uśmiechem, kładąc rękę na ramieniu Frania — to musimy

się wszyscy zabrać do bardzo sumiennej pracy. Każde z nas według sił pracować będzie.

Goście zostali w salonie z panią Zwojską i panem Mierznickim, a panna Helena zaprowadziła dzieci do swego pokoju. Posadziła je na małej kanapce obok siebie i rozmawiała z nimi długo i serdecznie. Mówiła im, że prosi je tylko, by miały do niej zaufanie. Nie mogą jej jeszcze kochać, bo jej nie znają, ale niech spróbują każdą myśl, każdą wątpliwość swoją jej przedstawić, niech jej zawsze powiedzą prawdę zupełną, ona też z nimi szczerze postępować będzie. Tylko na takiej szczerości oparty stosunek może być dobry i obie strony zadawalniać.

Panna Helena miała głos bardzo słodki, spojrzenie pełne dobroci i dzieci poczuły się ku niej pociągnięte odrazu. Mała Marytka, cała oszołomiona Warszawą i mnóstwem osób, które się w około niej kręciły, usnęła wieczorem w rogu kanapy. Panna Helena przeniosła ją do swego pokoju, przyczem dziecko się obudziło.

— Czy ty wiesz, Marytko, że ja będę twoją mamą? — szepnęła jej panna Helena.

— Ale nie będziesz złą? zapytało dziecko trzęsąc głową.

— Nie, nie złą, ale dobrą mamą.

Marytka złożyła usteczka do pocałunku, panna Helena zbliżyła swoje usta i usypiająca na nowo dziewczynka z zafaniem pocałowała swoją przyszłą mamę.

We dwa dni potem poubierano dzieci bardzo strojnie i pojechały z ojcem w karecie do mieszkania pani Zwojskiej. Zostały tam znowu mnóstwo osób. Drużny przypinały gościom weselnym bukieciki, wszyscy mieli miny poważne, na twarzy pani Zwojskiej widne były ślady łez. Wreszcie z drugiego pokoju wyszła panna Helena, ubrana cała białą, w welonie i kwiecie pomarańczowym na głowie. Poczęła się scena błogosławieństwa, przy której wiele oczu zwilgotniało. Dzieci były bardzo wzruszone. Marytka rzuciła się pannie Helenie na szyję szepcząc:

— Będiesz dla mnie taka dobra, jak pani Walowa?

Wreszcie wszyscy w karetach i powozach pojechali do przybranego kwiatami kościoła. Dzieci patrzyły, jak na przedstawienie. Tak im się odebrane wrażenia pomieszały w głowie, że sobie z nich nie zdawały sprawy dokładnie. Mężczyzna we fraku, klęczący obok białej jak lilia panny, był ich ojcem, ale one patrzyły na niego jak na obcego, zaś osoba, jaka im się w opowiadaniach Walburgowej przedstawiała, tak nic do panny Heleny nie była podobna, że tego wszystkiego zmęczone ich główki wyrozumieć nie były w stanie.

Po obiedzie podanym dla gości w mieszkaniu pani Zwojskiej, młoda pani przebrała się w suknię podróżną. Dzieci zmieniły także sukienki, miano bowiem dnia tego jeszcze wyruszyć na nocny pociąg i rano stanąć w Litowie. Pani Zwojska żegnała córkę ze łzami, potem zaś ściskając dzieci powiedziała im, wskazując na córkę:

— Pamiętajcie, byście jej życia nie zatruli.

Franio poważny, pomyślał chwilę i rzekł:

— Za tamte dzieci przyrzekać nie mogę, ale za siebie przyrzekam.

Był cały przejęty ważnością chwili, w której tę obietnicę dawał zapłakanej staruszce. Ona uściskała go, zostawiając ślady łez na jego ubraniu i powiedziała:

— Będzie z ciebie dzielny człowiek!

Gdy państwo Mierznicy z boną i dziećmi stanęli nareszcie przed gankiem w Litowie, Elżunia spała jeszcze, a że po zmęczeniu podróży udali się na spoczynek, więc błakając się po domu dziewczynka, dopiero około południa zawezwaną została przez ojca, który ją wprowadził do pokoju młodej pani.

— Wiem, że byłaś chora, moja Elżuniu — rzekła całując sztywną i chmurną dziewczynkę — dzięki Bogu, żeś już zdrowa. Wiesz, kochanie, będę w tym domu zastępować wam matkę, ale raczej dla rodzeństwa twego, niż dla ciebie. Bo dla ciebie chcę być przedewszystkiem przyjaciółką. Nie

jesteś już małym dzieckiem... będziesz mi pomagać we wszystkim, nawet w wychowaniu Marytki. Że jednak mało się uczyłaś, więc od jutra rozpoczniemy porządne, systematyczne lekcye. Dobrze Elżuniu?

— Jak pani zechce.

— To nie jest pani dla ciebie, Elżuniu, tylko matka — rzekł ojciec poważnie, hamując gniew. — Już ci to powiedziałem.

— Nie chcę jej przymuszać w tym razie — przerwała mu żona. — Mam nadzieję, że Elżunia sama dobrowolnie miano matki dawać mi będzie... gdy na to zasłuże.

— Ale ja zasłużyłem na to, by mi moje dzieci posłusznymi były — powiedział ojciec surowo.

— Cóż, jakże przyjęła panienkę? — zapytała Felka ciekawie, łapiąc Elżunię w korytarzu. — Że ładna, to ładna, niema co powiedzieć!

— Nie widzę w niej nic ładnego — rzekła Elżunia pogardliwie. — Taka sobie! Od razu dałam jej poznać, że jej niecierpię!

Odtąd na każdym kroku i w każdej chwili Elżunia myślała tylko o tem, by pani Helenie przykrość wyrządzić, by jej okazać niechęć i by młodsze rodzeństwo względem niej źle usposobić. Mówiła o niej z pogardliwymi minami i nazywała ją zawsze „ona”. Przy lekcji siedziała nadęta, często jej do obiadu namówić nie było można. W takich warunkach postęp był niemożliwy.

Pani Mierznicka nie chciała ze skargą iść do męża pragnąc by jego ojcowskie serce nie odwracało się od Elżuni, widziała jednak, że przy nieszczęśliwym usposobieniu dziewczynki nie będzie mogła, ani wpłynąć na nią moralnie, ani się przyczynić do wykształcenia jej umysłu. Widziała też, że Elżunia potrafiła źle usposobienie swoje przełać na Bronisia, któremu wcale się nie podobało to, że matka nie pozwałała mu biegać samopas, że wyznaczyła mu dziennie dwie godziny lekcji, z których jedną odbywał z nauczycielem przybyłym dla przygotowania do szkół Frania, drugą zaś matka wzięła na siebie. Bronis przyzwyczajony był przy Walburgowej do zupełnej swobody, przytem z natury swawolny i niespokojnego ducha, zaczął nakłaniać ucha na ciągłe podszczuwania Elżuni, w których dziewczynka nie ustawała. Próżna i zawsze przejęta sama sobą, lubowała się w przekonaniu, że miała swoje własne zdanie i niczyjemu wpływowi nie podlega. Felka plotkarka, lubiąca ludzi waśnić, dodawała jej bodźca pochlebstwem.

— Ona myślała, że panienka będzie jej piosnkę śpiewać, że się panienka da na pasku poprowadzić, aż tu się przekonala, że panienka taka dobra jak i ona.

Elżunia upierała się mówić Helenie „pani” i nigdy inaczej do niej się nie odzywała w nieobecności ojca. Przy ojcu milczała, lub omijała z ręcznie w rozmowie konieczność powiedzenia „mamo”. Wiedziała, że Franio przyrzekł pani Zwojskiej uległość dla Heleny, więc często go prześladowała nazywając lizusem, pochlebcą. Z Bronisem całymi godzinami szeptała obgadując ją. Wszystko im się w niej nie podobało, wszystko krytykowali. Przedrzeźniali jej słowa i ruchy, co ona robiła, to było złe. Elżunia ograniczała się na oziębłości, sztywności i uporze względem przybranej matki, Bronis wyrządzał jej tysiące psot i był do najwyższego stopnia krnąbrnym i nieposłusznym.

Dla pani Mierznickiej, to dwoje zbuntowanych dzieci i Marytka rozkapryszona i źle wychowana, były prawdziwą męką. Przybывая do Litowa, obiecywała sobie być aniołem opiekuńczym sierot, przyszykując je do swego serca, stworzyć koło nich atmosferę szczęścia, spokoju, wesołości, tymczasem jej najlepsze chęci były źle tłumaczone i musiała codziennie patrzeć na troje dzieci niezadowolonych, rozkapryszonych, z których dwoje wiecznie przeciwko niej spiskowało. Nieraz upadłszy na kolana przed wizerunkiem Chrystusa modliła się, prosząc o siłę do wytrwania, by oczy upartych dzieci otworzyły się na prawdę i by poznały, że matka tylko ich dobra pragnie. W domu rodziców swoich przyzwyczajajo-

na była do wielkiej miłości wzajemnej, do ufności, do pogody w spojrzeniach i wyrazie twarzy. Teraz nie mogła się oswoić z tem, że ją tu dwoje dzieci za wroga poczytywało i jak z wrogiem się z nią obchodziło. Dawniej wesoła i swobodna posmutniała teraz i zmierzniała bardzo. Całemi nocami przewracała się na swoim wygodnym łóżku, myśląc o tem, jak złemu zaradzić.

— Czy dobrze spałaś? — zapytał ją raz mąż przy śniadaniu.

Nie umiała kłamać, więc odrzekła.

— Nie spałam prawie wcale.

Pan Mierznicki się przestraszył:

— Czy nie jesteś chora? Wyglądasz bardzo źle. Schudłaś i zmierzniałaś bardzo od czasu jak tu jesteś.

Po śniadaniu wyszła do ogrodu. Szła powoli, cicho i lekka stąpając. Dochodząc do altany usłyszała głos Elżuni mówiący:

— Nie wiem czego jej jeszcze potrzeba? Ptasiego mleka chyba! Ma sprężyny i materace i wszystko tak wygodnie w pokoju urządzone, a sypiać nie może! Ja choć jestem rodzona córka papy, mam tylko siennik i twardy materac.

— Wszystko jej widać mało — ozwał się Bronis.

Na progu altany ukazała się pani Mierznicka.

— Moje dzieci — rzekła — jakże ja chętnie przyjęłabym najtwardsze posłanie, gdybym mogła, kładąc się na nie powiedzieć sobie, że dzieci, których matką przybraną zostałam nie są pozbawione serca i rozumu. Ja tego ojcu nie powiem, ale sen mi odbiera postępowanie wasze. Ja sobie głowę łamię nad tem, co mam uczynić, by was natchnąć ufnością ku sobie. Zatruwacie mi każdy dzień, każdą godzinę, ale darowałabym wam to, gdyby nie przekonanie, że jeżeli mnie dzieje się krzywda, wam dzieje się krzywda gorsza jeszcze, bo wzrastacie w złości, nienawiści, zazdrości, słowem w brzydkich i nędznych uczuciach. Mnie czynicie nieszczęśliwą, bo życie wśród nieprzyjaznych istot jest mi nieznośnem, ale sobie wyrządzacie krzywdę większą jeszcze, psując sobie charakter.

Wieczorem, gdy się Elżunia znalazła w pokoiku, gdzie sypiała z Marytką, zadziwiła się widząc, że jej łóżko znikło, a na jego miejscu stało ogromne, wygodne i prześliczne łóżko Heleny. Nie rozumiała co to było. Francuzka objaśniła ją, że łóżko wniesione zostało z rozkazu pani. Elżunia była zdziwiona, niezadowolona, gniewna, ale nie było rady, położyła się na wygodnych sprężynach i zasnęła wkrótce. Nazajutrz dowiedziała się, że p. Helena spała na jej wazkiem, skromnem łóżeczku.

Przy lekcji rzekła do niej:

— Proszę by pani kazała swoje łóżko wnieść napowrót do swego pokoju, a moje by mi oddaniem zostało.

— Nie, moje dziecko — odparła matka. — Chodziło ci o tę wygodę, a więc ją miej. Mnie jest bardzo dobrze na twojem twardem łóżeczku. Wczoraj położywszy się w niem miałam złudzenie, że jestem jeszcze dzieckiem w domu rodzicielskim, że jestem szczęśliwą istotą, na którą nikt krzywo nie patrzy i którą wszyscy wkoło lubią. Jestem młoda i nie potrzebuję wygod, które się raczej starym należą. Zostań przy twojem łóżku, a ty zachowasz moje.

Elżunia była upokorzona i bardzo niezadowolona. Przekonała się teraz, że jej bynajmniej nie chodziło o posiadanie wygodnego łóżka, lecz o możność wyrzekania i wynajdywania na każdym kroku zarzutów, względem Heleny. Zamiast z przyjemnością kłaść się na wygodnem posłaniu, doznawała co wieczór przykrości prawdziwej.

Ponieważ rok bony francuzki się skończył, więc odjechała, a do uczenia Elżuni przybyła nauczycielka, panna Kruścicka. Pani Mierznicka powiedziała do dziewczynki:

— Byłaś złą uczennicą pod moim kierunkiem, musimy więc spróbować dać ci nauczycielkę. Pamiętaj Elżuniu, że zawód nauczycielki jest ciężki... nie zatrujże życia pannie Kruścickiej swoim nieposłuszeństwem i uporem. Gdybyś i teraz jeszcze uczyć się nie chciała, musiałabym być dla ciebie bardzo surowa.

Z całej rodziny szczęśliwym był jeden Franio. Uczyl się dobrze, lubiony był przez nauczyciela, kochany przez rodziców i zadowolony sam z siebie. Po lekcji siadał na kucyka, lub jeździł na welocypedzie. Na jego twarzy malowała się otwartość, swoboda i dobroć. Próbował często wpłynąć dobrym przykładem i namową na zmianę usposobienia rodzeństwa, ale daremnie. Matka tak pokochała chłopca, że nieraz całemi godzinami rozmawiała z nim, jak przyjaciółka. Wtedy Elżunia z Bronisem pokazywali go sobie palcami, nazywając go lizusem.

Tygodnie i miesiące mijały przynosząc tylko tę zmianę, że Marytka pod taktownym kierunkiem matki daleko grzeczniejszą się stawała. Nie wspominała już pani Walowej, matkę zaś coraz bardziej kochać zaczynała, ale stosunek Elżuni i Bronisia nie poprawiał się wcale, bo dzieci, gdy raz wejdą na fałszywą drogę, bardzo trudno się z niej zwracają.

Życie w Litowie szło teraz bardzo systematycznie i porządnie. Panna Kruścicka i pan Wasiewicz nauczyciel, zajmowali nauką chłopców i Elżunię. Marytka zaś miała z matką pół godziny lekcji przed obiadem i pół godziny po obiedzie.

(d. c. n.)

Od Redakcyi.

WSZYSCY NOWI PRENUMERATORZY ZA ZGŁOSZENIEM SIĘ DO REDAKCYI DOSTANĄ BEZPŁATNIE POCZĄTEK POWIEŚCI

Dla szczęścia rodziny DRUKUJĄCEJ SIĘ W DODATKU KSIĄŻKOWYM.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA **Mazowiecka Nr. 10** NOWY.

TREŚĆ: Zima wiersz Zofii Mrozowickiej (z drzew.) — Wędrowki zwierząt. — W pustyniach Australii p. Władysława Umińskiego. — Gibraltar (z drzew.) — Ona, p. Zofii Kowerską. — **Dodatek:** Proszona herbatka (z drzew.) — Sanna, wiersz E. L. — Przygoda jeża p. J. H. — Opowiadanie starszej siostry z angielskiego M^{ss} Molesworth. — Łamigłówni i rozwiązanie. — Skrzynka do listów. **Dodatek książkowy:** Dla szczęścia rodziny. Przekład Maryi B.

WIECZORY RODZINNE.

PROSZONA HERBATA.

— ❧ ❧ ❧ —

Przyniesiono drewnianą skrzynię, na wierzchu której napisane było: dla Zosi i Frani.

— To dla nas — zawołała Zosia — ciekawam co tam we środku?

— Dowiemy się dopiero jak mama z miasta powróci, nam nie wolno samym otwierać przesyłek — mówiła rozsądna Frania.



— Tam coś dużego być musi — dowodziła Zosia obchodząc skrzynię dokoła.

— Zapewne dla mnie wiązanie, bo dziś moje urodziny — odezwiała się Frania.

Zosia przecząco potrząsała głową. — Gdyby miało być dla ciebie wiązanie, twoje imię tylko byłoby na karcie, musi to być dla nas obydwóch przeznaczone.

Dziewczynki różne tworzyły domysły póki nie wróciła mama, która ujrawszy napis, rzekła:

— Cioćca przysłała wam podarki, Frania jako solenizantka pomoże mi je rozpakować.

— Co to ma znaczyć? dwa blaty i trzy kije razem związane, a obok drugie pudełko — mówiła Frania zaglądając ciekawie do paki.

— Z tych blatów i kijów zrobimy okrągły stoliczek —

odparła matka — a w pudełku macie porcelanowy serwis do herbaty: imbryczek, dwie filiżanki i dwa spodki.

— Przyrządzimy herbatę i zaprosimy Józię, biedną dziewczynkę tej pani z naprzeciwka, ona biedaczka nie ma żadnych zabawek to jej zrobi przyjemność — mówiła uradowana Frania — będziemy wesoło obchodzić dzień moich urodzin.

— Ale jakże to zrobimy — pytała zafrasowana Zosia — nas będzie trzy, a mamy tylko dwie filiżanki?

— Mniejsza o wygody, kiedy idzie o przyjemność drugich — wołała Frania. — Zosi podamy jedną filiżankę my zaś obiedwie razem z drugiej pić będziemy.

— Doskonale masz pomysł — rzekła Zosia.

— Śliczny podarek zrobiła nam ciocia — dorzuciła Frania — musimy za niego podziękować i opiszemy jej naszą pierwszą proszoną herbatę.

SANNA.

Biało, gładko jak na stole,
Rwą się konie w rączym biegu.
Hej! przez lasy, hej! przez pole,
Sanki nasze mkną po śniegu.

Cóż za rozkosz z tej wycieczki!
Migają się drzewa, krzaki,
Rżą koniki, brzmia dzwoneczki,
Przez utarte, proste szlaki.

Lecą, pędzą, chyżym biegiem;
Skrzą brylanty przed oczyma.
Hej! niech żyje z swoim śniegiem,
Nasza śliczna, biała zima.

O! nikt teraz rzec nie może,
Że zbyt tęsknie wiosny czeka,
Bo Bóg nadał każdej porze,
Jakąś rozkosz dla człowieka.

E. L.

PRZYGODA JEŻA.

Na samym skraju lasu były gęste zarośla. Drzewa rosły tam tak blisko siebie, że się prawie gałęziami stykały, a przystępu do tego zakątka broniły obfite ciernie i głogi.

Tę okolicę właśnie wybrał sobie jeż na siedlisko. Namyslał się on nad tym wyborem długo i nareszcie doszedł do przekonania, że odpowiedniejszego dla siebie

mieszkania nie znalazłby nigdzie. Bo też rzeczywiście żadne niebezpieczeństwo grozić mu tu nie mogło, kłóby się przez taki gąszcz chciał przedzierać? Niepotrzebnie się zresztą obawiał, bo dostateczną tu była naturalna obrona, kolce którymi był najeżony. Niechby tam które zwierzę największy apetyt miało na niego i wytropiło go nawet, niechby i jastrząb albo sęp spuścił się, aby w nim zatopić szpony, zwija się czempredziej w kłębek ostro koleczasty i wtedy najśmielszy nawet napastnik cofnąć się musi.

A jednakże jeź kryje się wgęstwinach i tylko w nocy odważa się swobodnie odbywać swoje łowy na owady i myszy, bo prześladuje go potężniejszy od zwierząt nieprzyjaciół, człowiek, którego nie odstrasza jego kolce. Nieraz myśli nad tem, że go ludzie niesprawiedliwie tępią, zamiast ochraniać, za usługi jakie im przynosi zjadając myszy i szkodliwe owady. Ale cóż mu z tego rozmyślania przyjdzie, lepiej się chronić przed nieprzyjacielem. Wybór miejscowości nie zawiodł go wcale, żyje sobie spokojnie. To powodzenie tak go ośmieliło, że pewnego dnia pomimo jasnego światła słonecznego, zapomniawszy o ostrożności, wysunął się, zmuszony głodem, z nory, z początku ostrożnie, potem coraz śmielej. Przez gąszcz drzew przedzierały się promienie słońca i kładły złociste plamy na ziemi, to też w zaroślach było dziś wcale nie ponuro, jasno i wesoło jakoś... Od owadów aż się roilo, wszystkie zajęte, spieszące gdzieś za czemś, albo żarłocznie obgryzające liście i korę drzew. Jeź miał więc sporo roboty; tak się zajął łowami i spożywaniem obfitej zdobyczy, że zapominał o wszystkim innem. Nie słyszał też wcale co się koło niego działo. Tymczasem z daleka dochodziły jakieś stłumione głosy.

— Mój koszyk jeszcze nie pełny — mówił ktoś — czekajcie chwilę, tam w tych gęstych zaroślach musi być dużo grzybów. Przedrę się i zajrzę.

Po chwili zatrzeszczały łamane gałęzie, zaszeleściły deptane liście i igły i przez rozchyloną gęstwinę zajrzała jasna głowa wiejskiego chłopca. Nie zważał on na to, że mu ciernie ubranie rozdzierały i bosa noga kaleczyły, rozglądał się ciekawie w około. Nagle koszyk wypadł mu z ręki, a zebrane grzyby rosypały się na mchu.

— O, jeź! będę miał co przynieść do domu — zawołał z radością. I nie namyślając się długo pochwycił zaskoczonego tą niespodziewaną napaścią jeża i wsadził go do koszyka, zapominając zupełnie o grzybach. Tryumfująco pokazywał już z daleka swoją zdobycz towarzyszom, którzy go z zaciekawieniem obstąpili. Jeź przechodził z rąk do rąk, pomimo najeżonych koleców i wywoływał różne uwagi.

— Trzebaby się naradzić jak go teraz zabić — zawyrokował przywódca całej gromadki, wysoki Antek.

— Zabić, jakto zabić? — przerwał mu z niepokojem Franek, zdobywca jeża, który sobie już układał, jak go w domu małej siostrzyczce pokaże.

— No, jakto, jakto — przedrzeźniał go Antek — załtuc kamieniem, kijem, utopić albo zadusić, wszystko jedno, aby tylko zdechł — dodał, grożąc pięścią biednemu, wystraszonemu jeżowi.

— Ale dla czego zaraz zabijać, przecież on nie gryzie i żadnej szkody nie robi? — próbował go przekonać Franek, przyciskając do siebie koszyk z jeżem.

Antek zająknął się na razie, po namyśle jednak zawołał:

— Musi on być szkodliwy, bo pocóżby się tak krył w ciemnościach i zakątkach? Pewnie tam w ukryciu broi, wiecie przecież, że nieczyste sumienie boi się światła i jawności.

Chłopcy przekonani wymową Antka przytakiwali mu, a nawet Franek nie próbował go już bronić, patrząc z zalem na wydzieranego mu jeża, który nie rozumiał jeszcze grożącego mu niebezpieczeństwa. Odezwał się jednak teraz niespodzianie milczący dotąd Stach:

— Oj Antku — rzekł spokojnie — jak to zaraz widać, że ci się do szkoły chodzić nie chce, a wy wszyscy zamiast uważać na słowa nauczyciela, muchy na ścianie łapiecie. Inaczej słyszelibyście jak nam wczoraj właśnie o kretach i o jeżach opowiadał. Tłumaczył, jak to nieśluszenie ludzie zabijają je zamiast ochraniać i pielęgnować, bo te zwierzęta przynoszą nam dużo pożytku, zjadając pędraki, liszki owadów, co to tak korzenie obgryzają i niszczą rośliny. Jeź zjada także myszy i zagryza węże i żmije, bo mu ich jad nie szkodzi. A że się w gęstwinach kryje to pewnie dla tego, że się boi takich niemądrych jak wy chłopców. Może właśnie, jak go zabijecie, żmije oswobodzone od swego wroga wypełzną do was z tych krzaków.

Ta pogroźka najlepiej poskutkowała. Chłopcy zastąpili się z przestachem, Antek nawet odsunął się, a Stach pochwycił jeża i zaniósł go napowrót w zarośla.

Po chwili głosy oddalających się chłopców zamilkły. W zaroślach znów zapanowała cisza przzerwana tylko szumem drzew, świegotem ptaków i brzęczeniem owadów. Jeź po gwałtownym przestachu przychodził z wolna do siebie. Robiło mu się nawet niezwykle przyjemnie, bo dopiero teraz odczuwał całe szczęście swobody, której utrata mu groziła.

— A — powtarzał z zadowoleniem — to jednak ludzie wiedzą, że im nie szkodzę, zmądrzeli widać, więc mnie już prześladować nie będą. Jakby mi kamień spadł z serca, kiedy tak groźny wróg ustępuje. Żadnej obawy już teraz, żadnego strachu, bo przed innymi niebezpieczeństwami wy mnie ochronicie, kolce moje kochane, — dodawał radośnie. I rozpromieniony zabierał się z większym apetytem do owadów, które poblizki krzak obsiadły.

Janina H.

OPOWIADANIE STARSZEJ SIOSTRY.

z angielskiego

M-ss MOLESWORTH.

— Masz słusność — mówiła mama — skoro nie mamy ani babki, ani ciotki, którymby dzieci nasze powierzyć można, a brat twój podejmuje się opieki nad niemi, nie możemy wahać się z przyjęciem jego ofiary.

— Gdyby nie ten zabójczy klimat — zauważył ojciec — mogłyby z nami jechać.

— Za nic w świecie nie chciałabym je narażać! — przerwała matka.

— Zresztą pobyt nasz w Indyach nie będzie wieczny — dodał ojciec.

Mieli więc zamiar jechać do Indyi! W tej chwili przypomniałam sobie miejsce jakie Azja zajmuje na kuli ziemskiej. Jakże daleko od nas będą niestety!

— Franciszek jako lekarz — ciągnął dalej ojciec — troskliwie nad dziećmi czuwać będzie; byłoby lepiej może gdyby miał żonę, ale on wyraźnie ślubował zostać starym kawalerem. Janowa, która mnie i mego brata piastowała, z kolei teraz dzieci nasze wychowywać będzie. Zechcesz jej zaufać Maryniu?

— Zapewne — odpowiedziała mama wymijająco. — To wątpliwe „zapewne” równało się niemal zaprzeczeniu.

— Wydaje mi się że ona za stara do zajęcia się małemi dziećmi. Gdyby Kasia chociaż przy nich zostać mogła!

Piastunka Józia, a zarazem nasza dozorczyń Kasia, która od roku obowiązki te spełniała, miała niebawem wyjść za mąż. Ja i Tomcio nie kłopotaliśmy się tem wcale. Dręczyła nas ona zbytnią przezornością swoją; gdyśmy szli do ogrodu obwijała nas jak mumie szalami, nie pozwalając nam wchodzić na drzewa, przewidując zaraz jaki nieszczęśliwy wypadek.

— To poszukamy jakiej młodej dziewczyny dla naszych dzieci — tłumaczył ojciec.

— Och! moje drogie skarby! — zawołała mama — czyż mam je porzucić? Mego maleńkiego Józia! mego ślicznego Tomcia! moją jedyną Zosię! co oni wszyscy poczną bezemnie! Zwłaszcza dwaj młodszy, którzy takiej pieczołowitości macierzyńskiej potrzebują!

— I dla dziewczynki naszej twoja opieka pożądana, chociaż ona dużo rozsądniejsza od braci, do których tkliwie jest przywiązana.

— Dla tego też jej obecność przy chłopcach jest niejakim dla mnie uspokojeniem. Ale godzina tak późniona, a piastunka po Józia jeszcze nie przychodzi. Zejdź mój drogi, zaraz za tobą pójdę.

Ojciec oddał się pocichu. Mama stanęła obok łóżek naszych i zawahała się jakby niepewna, co dalej robić. Biedna mama! W żalu swoim obawiała się na nas spojrzeć. Wreszcie oczy jej kolejno spoczęły na Józiu i Tomciu, więcej im okazywała tkliwości uczucia, dla tego może, iż jako młodszy więcej troskliwych starań wymagali. Nie byłam wcale o braci zazdrosną; kochałam ich tak serdecznie! Wyobrażałam sobie jakobym ich drugą mamą była.

Często chcąc ich zwieść udawałam że śpię, ale śmiechem zdradzałam się zbyt prędko; tego wieczoru płacz jedynie mógł mnie zdradzić! Ciężko mi było na sercu, tem więcej, że czułam się winną podsluchując rozmowy rodziców.

Naraz posłyszałam głośne łkanie mamy; odrzucając kołdrę wyciągnęłam do niej ręce.

— Mamó! — zawołałam z żalem — usłyszałam wszystko niechcący, czy naprawdę mogłabyś od nas odjechać?

— Biedna moja córeczko! — odparła mama, całując mnie czule, a łzy jej kroplami spadały mi na czoło. Objęłam ją za szyję gorącym uściskiem.

(d. c. n.)

ZAGADKA.

przez E. M.

Dziwny potworek, widziany mało;
Na lądzie i w wodach żyje,
W twardym pancerzu zamyka ciało,
W trwodze się cały kryje,
Chodząc, powoli i ciężko nogi
Ledwie pod sobą wlecze;
Brzydał, niezgrabny, ale nie srogi;
Ścigany rzadko uciecze.

ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

dla Konwalijski leśnej od Z. F.

Z następujących sylab: kon—i—bo—bab—ta—a—zar—te—o—da—ról—na—li—par—a—e—o—ba—a—nau—gol—man—ro—nik—ta— ułożyć dziewięć wyrazów, których początkowe i końcowe litery utworzą nazwy dwóch szczytów w Beskidach.

Znaczenie wyrazów: 1) Drzewo rosnące na pobrażach Afryki, owoc jego mieszkańcy zwą chlebem małp. 2) Imię tureckie. 3) Nazwisko bohatera z pod Austerlitz. 4) Dopływ Dunaju. 5) Dowódzca kozaków. 6) Miasto w Indostanie, niegdyś stolica. 7) Przełożony zakonników. 8) Zajmujący się uprawą roli. 9) Żeglarz napowietrzny.

KWADRAT MAGICZNY.

ułożyła Figlarka.

a	d	a	a	Minerał płynny.	<i>Woda</i>
a	a	o	n	Zwierzę bezkręgowce.	<i>Węże</i>
d	d	d	d	Strojna kobieta.	<i>Dama</i>
m	m	w	w	Imię męskie.	<i>Adam</i>

ROZWIĄZANIA DO N-ru 1-go.

Szawady: No — wy — rok.

Łamigłówniki kropkowanej:

S S S L M M G S C C E Ś S S K N M S D T M
l z z i e a a a h ż l w e o a a e t r y o
o a c s c d l m o a b i r b c s s r w g d
ń t z z z r a b p p r d b o z s z o ę r e
c a e k ę a ć o i l u e i t k a n ż c y n
e n p a t ś z r n a s r a a a u a a a s a

Łamigłówniki w kratkach:

O l s z t y n
A p o s t o ł
K o ł c z a n
K u m a s s i
O r e s t e s
G ł u s z e c
K r z y ż a k

Skrzynka do listów.

Z uczuciem szczerego zadowolenia zapisujemy dowody lietości i współczucia dla nędzy, budzącego się coraz żywiej w sercach naszych młodych czytelników; pojmują oni, że dobrym nczynkiem święcimy najlepiej uroczyste dni, religijnych obchodów, gdyż w tym czasie ofiary ich dla biednych najobficiej napływają do Redakcji. W imieniu obdarowanych mamy podziękować **Regince i Anielci D.** za rs. 1 nadesłany na kolonie letnie; **Skoczce i Łyżwiarce** za ubranie własnej roboty, dla tychże kolonii przeznaczone; **Izi i Tadeziowi** za rs. 1, ofiarowanego przez nich na gwiazdkę dla biednych dzieci. Nie wątpimy, że myśl iż poświęceniem jakiejś własnej przyjemności, przyszli w pomoc potrzebującym, będzie im najmiłą nagrodą za pamięć o nieszczęśliwych.

Jadwinia P. pisząc do Redakcji własnoręcznie z zamówieniem nadal prenumeraty *Wieczorów*, sprawiła nam prawdziwą przyjemność, dając tem dowód, że potrafi osobiście sprawy tego rodzaju załatwiać. Gdy tak za młodu nawyknie do ścisłej akuracności w stosunkach z drugimi, w przyszłości korzyść z niej odniesie, załatwiając we właściwym czasie rzecz każdą.

Nie możemy uczynić zadość żądaniu **M. L. ze Scho.**, gdyż pseudonymów Redakcja zdradzać nie może, byłoby to bowiem nadużyciem położonego w niej zaufania.

Rozpatrzmy nadesłane przez **Amatora** łamigłówniki. Nie godzimy się wszakże w zdaniu, że nie mając łatwości w wypisaniu się, lepiej się uchylić od przyjęcia udziału w konkursie, wszakże dla zachęty do przewyciężenia podobnych trudności podajemy nasze zadania. Zresztą kto tak zręcznie układać potrafi łamigłówniki, kwadraty magiczne, arytmetyczne zagadki, ten niewątpliwie myśleć umie i przy pracy oglądy stylowej prędko nabierze. Potrzeba tu tylko trochę dobrej woli.

Rybak z nad Wisły dobre nadesłał rozwiązanie zagadki arytmetycznej z 51 numeru „*Wieczorów*.”

Jakże skromna ptaszyna wdzięczność swoją wyrazić zdoła za serdeczne wyrazy, przesłane jej przez Szanowną **Filj. Łas.** Otrzymane życzenia podobnież tylko odpłacić mogę, abyśmy we wspólnych usilnościach i staraniach o dobro i pożytek wzrastającego młodego pokolenia, natrafiali zawsze na zacnych i rozumnych rodziców, przykładem i czynem rozwijających w sercach i umysłach dzieci głoszone przez nas zasady.

Uprzejmego i serdecznego korespondenta nie inaczej jak **Bohdanem** zwać pragnę dla pamięci poety, który wyrzekł: „Święć się, święć się wieku młody” „Śnie na kwiatach, śnie mój złoty” „Idealne wiary, cnoty” i t. d. Nosząc to imię, obejść się można bez pseudonymów. Nie dla tego wszakże polubiłam cię odrazu, **Bohdanku**, podobala mi się twoja otwartość i szczerokość. Oskarżasz się w liście twoim o lenistwo, wyznać muszę, że i ja nie zawsze mam ochotę do pracy, ale gdy sobie przypominę, że praca jest obowiązkiem tak ptaków jak ludzi, że gnuśny pędząc żywot, nie moglibyśmy ani mieszkań swoich ulepić, ani głodu czem zaspokoić, że nie pracując utracilibyśmy tę swobodę i zadowolenie wewnętrzne, które nas czynią miłymi Bogu i ludziom, staram się zawsze otrząsnąć z ogarniającego mnie lenistwa i copędzej zabieram się do roboty. Zechciej to samo czynić w chwilach zniechęcenia, a nie wątpię, że przekonasz się o skuteczności rady życziwej ci

Jaskółki.

Żądane numera „*Wieczorów*” niebawem przesłane będą, wyjaśnienia zaś, które mieć pragniesz udzieli ci każdy kapłan, w odpowiedziach naszych pisać o tem byłoby za długo.

KSIEGARNIA TEODORA PAPROCKIEGO i S-ki

Warszawa; Nowy-Swiat 41,

poleca wydane swoim nakładem

Książki dla dzieci i młodzieży:

Amicis Edmund de. Pamiętnik chłopca. Książka dla dzieci. Przekład z włoskiego. Rs. 1, w kartonie rs. 1 kop. 35 w ozdobnej oprawie 1, 75

— **Ze szkoły i z domu.** Nowelle. Przetłóżyła z włoskiego **Marya z Siemiradzkiej Obrąpalska** 1 50

Andersen H. Bajki i opowiadania z licznymi drzeworytami w tekście. Rs. 1 kop. 20, w kartonie rs. 1 kop. 50, w ozdobnej oprawie 1 80

Bert Paweł. Początkowa nauka przyrody dla młodzieży. Przetłóżyli **J. J. Boguski i Adolf Dygasiński.** Dzieło ozdobione 530 drzeworytami w tekście. Wyd. II rs. 1 kop. 80, w kartonie 2 —

Buckley Arabella. Przez szkła czarodzieja Książka dla młodzieży. Rs. 1, w kartonie rs. 1 kop. 20, w ozdobnej oprawie 1 80

Cordelia. Mali bohaterowie. Książka dla dzieci. Przekład z włoskiego. Z ilustracjami. W oprawie 1 50

Gawrońska Ant. Bajki, gadki, przysłowia i piosneczki, spisane z ust ludu dla dzieci — 40

Gliński Kazimierz. A B C wszechświatowe, czyli niebawala podróż naokoło ziemi, którą Stach odbył. Książeczka dla dzieci. Z obrazkami kolorow. 1 —

— **Cudowny świat zwierząt.** Książeczka dla dzieci. Z obrazkami kolorowanymi 1 —

Historia naturalna w obrazach. Zoologia w 250 kolorowanych obrazkach, z tekstem **Adolfa Dygasińskiego.** Wyd. wspaniałe złożone z 25 chromolitografowanych tablic. W oprawie 4 —

Historia naturalna w obrazach. Część II. Botanika i mineralogia w 260 kolorowanych obrazkach, z tekstem **Feliksa Wermińskiego.** Wydanie wspaniałe, złożone z 25 chromolitografowanych tablic. W oprawie 4 —

Laboulaye Edward. Bajki i opowiadania dla dzieci z licznym drzeworytami w tekście. W kartonie rs. 1 kop. 20, w oprawie 1 70

Legouvé Ernest. Szesnastoletnia uczennica. Książka dla dorastających panien. Przetłóżyła **T. Prażmowska** 1 50

M—a (M. Zielińska). Teatrzyk amatorski dla dzieci. Rs. 1 w oprawie rs. 1 kop. 20 i 1 50

Mantegazza Paweł, prof. antrop. Głowa. Książka dla młodzieży rs. 1 kop. 20, w kartonie rs. 1 kop. 50, w oprawie 1 80

Marené W. Kazio. W oprawie w płótno angielskie — 75

Maspero G. Opowiadania historyczne. Egipt i Assyrya 1 80

Mill K K. Wykłady popularne zasad fizjologii i higieny. Przetłóżył z angielskiego **Henryk Wernic.** Rs. 1 kop. 50, w oprawie 1 70

Książeczka dla dzieci z obrazkami kolorowanymi: **Or-oł** Mały sowizdrzał 1 20. — **Prażmowska Teresa.** Czerwony kapturek. 80. — **Fraszki Igraszki** 80. — **Koty i kłopoty** 60. — **Trzy niedźwiedzie** 60 kop.

— **W dziewiczych lasach Ameryki.** Powieść dla młodzieży. Z rysunkami. W oprawie 1 —

Tchórznicki. Listy do młodzieńca o wyborze stanu — 60

Teresa Jadwiga. Ognisko rodzinne. Powieść dla młodzieży Z rysunk. W oprawie 1 50

— **Walka.** Kilka epizodów z wojny francusko-pruskiej. W kartonie rs. 1 kop. 20, w ozdobnej oprawie 1 70

Verne J. Bez przewrotu. Przetłóżyła z francuskiego **Julia Zaleska** — 80

Załęska Anna. Dobrze dzieci. Zbiór powiastek z licznymi oryginalnymi rysunkami **J. Pankiewicza** w tekście. Rs. 2, w ozdobnej oprawie 2 70